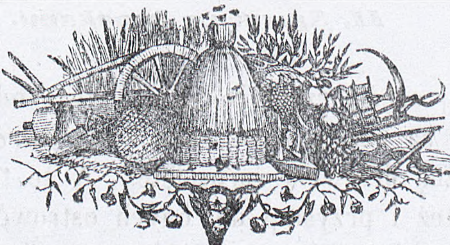
Tom IV. Nr. 17.

11. Czerwca. 1861.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.



W dalekim kraju, we Francji, umarł 29go zeszłego miesiąca **JOACHIM LELEWEL**, zrodzony na polskiej Ziemi, mąż wielkiego rozumu i wielkiego serca. Kto z was nie słyszał tego nazwiska, niech sobie go spamięta i dzieciom swoim niech przekaże. Miłował **Lelewel** swoją ziemię rodzinną nad wszystko, i miłował po bratersku lud wyrosły na niej. Pracował on ciężko dla dobra kraju i rodaków, a gdy wreszcie bracia nasi za Wisłą ruszyli na Moskala, co gnębi biedny naród, to **Lelewel** pomagał w tem najwięcej, bo jako minister starał się o dobry koniec rozpoczętej wojny. Lecz Bóg najwyższy chciał inaczej: Moskal zwyciężył, a nasi poszli na wygnanie. Poszedł z nimi i **Lelewel**, i od tego czasu zostawał ciągle za granicą. Nie miał on bogactw żadnych, tylko swój rozum i swe serce; a choć sam sobie chleb kupował i wodę nosił, to przecież mieli dla niego szacunek i poważanie wielcy panowie, książęta i królowie.

Umarł spokojnie, bo żył w Bogu: w miłości i cnocie. Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie; i przyjm modlitwę dzieci Twoich za niego i za ziemię naszą!

STEFAN BATORY, KRÓL POLSKI.

II. Sprawa z kozakami.

Na niższej części rzeki Dniepru, która od wschodu ziemię polską oblewa, są częste wpośrodku wody *ostrowy*, czyli wyspy trzcinami i różną drzewiną zarośnięte. A że tu woda wielka i rwąca, więc też i przystęp do onych ostrowów jest trudny, i dobrze musisz umieć wiosłem robić, żebyś podpłynął do nich na czółnie.

Owóż na tych ostrowach zbierali się oddawna ludzie z różnych przyległych Dnieprowi krain, i zakładali tu swoje siedziby. Więc znalazłeś między nimi Polaków, Rusinów, Wołochów, Turków, nawet Węgrzynów, i Bóg wie jakiego jeszcze pochodzenia ludzi, a ci, co najczęściej, albo przeskrobawszy coś złego przed karą uciekali z ojczyzny; albo byli to pędziwiatry, niespokojne duchy, co to w żaden sposób na miejscu usiedzieć nie mogą, jeno się włóczą po szerokim świecie. Otóż takich ludzi zbierało się tu coraz więcej na Dnieprze, aż wreszcie powstały całe osady. Wnet też liczyłeś na setki osadników, których zwano razem *Kozakami*, a znowu osobno to *Niżowcami* to *Zaporożcami* od tego, że za progami czyli p o r o h a m i Dnieprowemi mieli swe siedziby.

Ci Kozacy trudnili się zrazu rybołostwem; i prawie że same ryby, świeże w lecie, a suszone na zimę były ich pożywieniem. Przytem, jako rybacy, umieli bardzo składnie pływać na Dnieprze, budując sobie ku temu zgrabne, skórą obijane czółna, które *czajkami* nazywali. Aleć jak ich już większa gromada była, a jeden miał strzelbinę i garść prochu, zaś drugi jaką szablę śmigłą, to wybierali się nieraz na pasterzy tatarskich, i zabierali im bydło ze stepów, a nie obeszło się przy tem bez bójki i bez krwi rozlewu.

Otóż takie wyprawy stawały się coraz to groźniejsze, boć i liczba Kozaków coraz bardziej się powiększała, a wnet krwawemi zgoła wojnami trapili swoich pogańskich sąsiadów. Trafiało się też czasem, że siadłszy na swoje czajki, zapędzali się Kozacy aż na *Stambuł*, co jest główne miasto tureckich krajów,

i tam palili i łupili, co tylko mogli. Żeby zaś nieprzyjaciel z własnego gniazda nie mógł ich wykurzyć, to urządzili sobie na jednym ostrowie taki zasiek niby miasto, wałami i parkanami obwiedzione, gdzie były ich domy pobudowane. I takie to miasto nazywało się *Sicz*.

W tej to więc siczy przesiadywali Kozacy, a był też między nimi nie mały porządek i surowy żywot. Nie ujrzałeś tam ani jednej niewiasty, bo żaden z nich nie mógł być żonaty. Przez całe lato jak nie siedzieli w siczy, to chodzili na różne wojny; dopiero w zimie rozchodziła się ich jakaś część po bliższych okolicach między osiadłych na gruncie Kozaków, którzy też już i pożenieni byli; albo i po dalszej Ukrainie. W siczy zostawało się wtenczas nie wielu, a ci pilnowali broni, łódek i innych skarbów kozackich.

Sicz zaporożka miała sobie zawsze jednego, co najwalniejszego i głową i odwagą za *atamana*, czyli przywódzcę, a ten prowadził Kozactwo wszędzie, i wszyscy musieli mu podlegać jakby dzieci ojcu. Hej, hej, a nie zliczyłbyś nawet siła to tęgich i sławnych atamanów było w Zaporożu! Jeszcze dziś śpiewają sobie ludzie o Daszku, o Bohdanku, o Bajdzie. Wszyscy ci byli atamanami zaporozkimi, a pan Bóg wie ile to wody upłynęło Dnieprem od tego czasu kiedy oni żyli, i kto wie kędy już wiatr porozuosił proch z ich białych kości! Boć wszystko co na ziemi, to znikome i śmiertelne: czy złość czy dobroć, bogactwo czy nędza, i tylko jedna ta śpiewka co czasem w ludzkich ustach zostanie po sławnych na cały świat ludziach!

Owóż z tymi to Kozakami miał Batory jeszcze przed moskiewską wojną nie mało kłopotów; jako że Kozacy byli pod rozkazami polskiego króla, a przecież kiedy im się tylko spodobało napadali na tatarską i turecką ziemię, i ztąd nieprzyjaźń wielką w onych narodach ku nam budzili. Więc król Stefan zakazał im surowo bez pozwolenia wojny prowadzić, boć rozjedzony Tatar albo Turek mógł łatwo wpaść do ziemi ruskiej, i tam mordować lud niewinny, paląc miasta i sioła a nasi i tak już z Moskalem mieli dość do roboty, toż by im ciężko było odpędzać owo pogaństwo.

Aleć trudna to była rada z Kozakami. Jak wilka nie utrzy

masz na łańcuchu, bo go zawsze ciągnie do lasu: tak i onych Zaporożców nie mogłeś od wojowania powstrzymać. A trafiło się właśnie, że był między nimi jeden człek setny z Multan rodem, który miał taką siłę w rękach, że podkowy łamał jak obwarzanki, i głowę miał też do wojowania tęgą; więc zwali go jedni *Podkową*, a inni *Serpiahą*, i tak go wszyscy wnet pokochali, że niebawem obrali sobie go za atamana całej siczy.

A Podkowa kłania się i rzecze:

— Dziękuję wam dzieci żeście mi zaufali; muszę i ja się wam odwdzięczyć! Więc jeżeli chcecie to was poprowadzę na Wołochów: tamtego hospodara wypędzimy, a sami weźmiemy się rządzić wołoską ziemią! —

— Dobrze bat'ku atamanie! — zawołali Kozacy — Tylko nas prowadź, a pójdziemy z tobą na koniec świata!

Więc Serpiaha nie wiele myśląc zwołał wszystkich Zaporożców, i ruszył z nimi na Wołoszczyznę, którą się Turek opiekował. Kozactwo było tęgie, bitne i odważne, toż i nie wiele potrzebowali się bić z Wołochami, a wnet wygnali hospodara ich Petryłę, i Podkowa na jego miejsce jął rządzić Wołoszczyzną.

Przeląkł się król Stefan, skoro usłyszał co Serpiaha z Kozakami dokazuje; jakoż wnet napisał do brata swego w Siedmiogrodzkiej Ziemi, żeby Zaporożców poskromił i wygnał ich z Wołoszczyzny, bo Turcy się bardzo sierdzili i odgrażali na Polskę. Więc brat królewski wyruszył z wojskiem i pobił Kozaków tak, że musieli się wracać, przyczem też i Podkowę złapali, i wnet go odstawili Batoremu do Warszawy.

Król jako pan dobry i łaskawy, nie był by się mścił nad Podkową, choć tyle kłopotów całej Polsce narobił; ale cóż kiedy Turcy nie ustawali grozić, a ciągle się domagali żeby im Serpiahę wydać, coby go za jego zbrodnię ukarali. Więc król myśli sobie tak:

— Ja Podkowę wydam Turkom, to się będą pastwić nad nim, i kto wie jakie męki mu wymyślą; zginie biedak od pogańskiej ręki, i w pogańskiej ziemi go pogrzebią. A jeśli go im zupełnie nie wydam, i sam go też nie ukarzę: to napadną na biedną ziemię naszą, i będą ją pustoszyć, a ludzi niewinnych

Bóg wie ile nazabijają za jednego człowieka. Lepiej będzie, gdy go sam tu każę zgładzić z tego świata, a tak zginie lekko i od własnej, chrześcijańskiej ręki, a ciało oddam Zaporożcom, żeby go w własnej pochowali ziemi.

I przykro było królowi, bo przykro, ale nie mógł inaczej zrobić; więc wydał rozkaz żeby ściąć Podkowie głowę. Jakoż wypełnili ten królewski rozkaz. Podkowa był właśnie przywieziony do Lwowa, i tutaj oddał głowę pod miecz katowski, przyczem jako świadek stał poseł turecki.

Wielkim smutkiem rozżaliło się całe Zaporoże po śmierci swojego atamana.

— Hej Serpiahu, Serpiażeńku — mówili starzy kozacy, i kiwali głowami, i jasnemi łzami płakali — na cóż tobie było chodzić na Wołoszczyznę, nieszczęśliwy!

A skoro ciało atamana przywieźli na Ukrainę, to z wielką żałością grzebali je Zaporożcy, a jeszcze dzisiaj, choć to już temu z górą dwieście i dziewięćdziesiąt lat, śpiewają sobie ludzie na Ukrainie:

Po dorozi witer wije,
A zi Lwowa wiz ide;
To kozacza Atamana
W Ukrainu weze.
A wsi dzwony zadzwonyly,
A wsi surmy zasurmyły,
Jak Serpiahu molodoho
Ta w Kanewi choronyły.

Pamiętajcie ludzie!

Nieraz to już orła wrony zakrakały,
A potoczek lichy porozbijał skały;

Jednak wrona zawsze wroną pozostanie,
A z skał nawet Bogu stawiają mieszkanie!

Kupa trzeba żaru, nim się piec rozpali,
A iskierka z fajki całe miasto spali;

Toż stać lada kogo na złości piekielne,
Ale kochać zdoła tylko serce dzielne!

Długo stoi drzewo w mrozach i zamieci,
A przecież na wiosnę cudnie się rozkwieci;

Toż nie traćcie nigdy w frasunku nadziei,
Bo za smutkiem przyjdzie szczęście po kolei!

Dość z chłopięcia, jeźli zegnie kij grabowy,
Kowalowi każesz łamać i podkowy.

Otóż nie wymawiaj Opatrzności Bożej,
Jeślić troskę większą, niż na drugich włoży!

Drobne pacholątko czasem coś tak powie,
Że pomyśleć trzeba choćby starej głowie.

Najmędrszemu człeku pomylić się łatwo,
Kuba rwał powrozy — udusił się dratwą!

Zginął wół z ciężkości, a z brykania ciele,
Marcin umarł z głodu — Maciek, że jadł wiele!

Organista z chóru, a ptaszyna z drzewa
Równie pięknie, wdzięcznie, Bogu pieśni śpiewa.

Rusin z Wieckowic.

Posag przed ślubem.

W trzecią jakoś niedzielę po Wielkanocy, a będzie już temu dobrze trzydzieści lat z górą, miało się odbyć u Bartłomieja Skoczylasa siarczyste weselisko. A musicie wiedzieć, że ten Skoczylas nie był sobie człek ladajaki. Dawnemi czasy bywało służył on we wojsku, i to jeszcze pod naszym kochanym wodzem Kościuszką; a kiedy Pan Bóg nie po naszej woli wszystkiem zakierował, to i Bartłomiej rad nie rad powrócił do domu z boleścią w sercu, z raną na czole, a z krzyżem na piersiach, co mu go sam Kościuszko po jakiejś tam bitwie był przypiął. Gdy wrócił do domu, nie zastał już ani ojca, ani matki, jeno gołe ściany w chałupie, po której hulał sobie wiater, bo i szyby nawet ktoś z okien powybierał. Z razu nie mógł się on wydziwić, i aż zapłakał gdy uwidział wszędzie takie szkody i pustki, boć jego ojciec był kmieć zamożny i gospodarny i wszystkiego miał podostatek. Ale gdy zmiarkował że

to płakanie nic mu nie pomoże, powiedział tylko: — niech mu Bóg odpłaci, kto mi taką krzywdę wyrządził — i poszedł do dworu prosić o zapomogę. A ponieważ pan bardzo takich ludzi poważał, co to swoją krew za rodzinny kraj przelewali, jako że i sam był porucznikiem przy tem samem wojsku co i Skoczylas: toć mu dał i pieniędzy trochę, i drzewa z lasu na poprawę budynków, i parę podobno jałówek, i zboża trochę na zasiew, a nawet nie chciał żadnego oddania.

Toż i nie dziwota, że Bartłomiej, gdy się czepił pracy rękami i nogami, to się w krótkim czasie tak podreperował, że nawet byś nie poznał dawnej chaty Skoczylasowej; a że był poczciwy, rzetelny i słowny, toć go i gromada szanowała, i wójt pierwszy przed nim uchylał kapelusza, i ksiądz lubiał bywało przy wolnym czasie co nieco z nim pogadać, i pan go poważał. Jeno co jeden Duwid Krzywoszyjka strasznie go nienawidził, że był taki trzeźwy, i nigdy do jego karczmy nie zagościł. —

A gdy się potem z uczciwą pobrał dziewuchą, to mu i dobytku w domu przybyło, i z czasem doczekał się czworo dzieci, a tylko z tego był trochę markotny, że to były same dziewczęta, boć to zawsze większe jest wyręczenie z chłopca, a mniej kłopotu.

Owóż teraz właśnie wydawał Skoczylas najstarszą córkę Kaśkę za Stacha Kaczurbowego, co to mieszkał na przedmieściu w Narolu, małe pół milki od Łukawicy.

A trzeba wam wiedzieć, że ten Kaczurba jakimś dziwnym trafunkiem był kubek w kubek podobny do Skoczylasa. Bo za młodu służył z nim razem wojskowo gdzie się oba tak zaprzyjaźnili, że już prawie bez siebie dychać nie mogli. A kiedy potem każdy z nich osiadł na ojcowiźnie, to nie było takiego tygodnia, gdzieby się ze sobą choć raz nie widzieli. I często bywało, kiedy sobie zaczną przypominać dawne czasy, to Wojciech Kaczurba westchnąwszy ciężko przy odchodzeniu tak rzecze:

— Oj, szkoda tego czasu, co tak marnie poszedł, i tych ludzi, co ich pozabijano lub pojmano. Ot, wszystko przeminęło, ta i nas tu nie wiecznie na tym świecie; żeby choć między naszymi dziećmi panowała taka miłość i zgoda!

— A pewnie — pewnie, odrzecze mu na to Bartłomiej —

i niby w żartach dodaje: — Macie już Wojciechu dwóch chłopaków, a ja mam troje dziewcząt, to kiedyś połączymy ich ze sobą.

— To wszystko w ręku Boga — odpowiedział na to Wojciech, a uśmiawszy się, i ucałowawszy Bartłomieja odchodził do domu.

I patrzcież, tak się stało, jak sobie oba przyjaciele w żartach układali.

Najstarszy syn Kaczurby, co mu było Stach na imię, urósł na walnego parobka, i jak to mówią, składny był do tańca i do różańca. Za namową ojca zaczął się przypytywać do Kaśki Skoczylasowej, a żeć to była dziewucha urodziwa i poczciwa, toć i nie długo przystali do siebie, a starzy i swachy przypili jeden do drugiego, i dali na zapowiedzi. I owóż właśnie teraz, jak wam powiedziałem na początku, miało się odbywać to wesele. A jak się tam do niego gotowano, to cała wieś o tem szeroko gadała; a dla was dosyć będzie, jeżeli powiem, że stary Skoczylas, chcąc wszystkich ugościć jak należy, kazał i dwuroczną jałówkę, co trochę kaleczała, zabić, i podobnoś dwa czy trzy półbeczki piwa sprowadził z miasta, i wszystek przeszłoroczny miód ze swojej pasieki jakoś tam zaprawił, a bożego chleba toby i nie naliczył.

Owóż gdy wszyscy byli się już zeszli, a chorąży z białą chustką na tyce naganiał do pospiechu, i tylko jeszcze starościny z panną młodą odprawiały różne przygadywania: poprosi Stach Bartłomieja na osobność do komory i rzecze:

— No moiściewy, już wnet pannę młodą do ślubu poprowadzę, a jeszcze nie wiem, co od was dostanę w posagu.

Na takie gadanie zdumiał się strasznie Bartłomiej, ale w końcu odrzeknie:

— Tać ja tobie Stachu przecież krzywdy nie zrobię.

A Stach znowu:

— Ja wiem o tem, ale zawsze dla lepszego bezpieczeństwa powiedzcie, co mi dacie.

— Sam widzisz Stachu, że ja ci wszystkiego nie mogę dać co mam, bo są jeszcze przecie trzy córki, ale dam ci dwie krowy i parę koni, i ten kawał gruntu, co leży wedle Ickowego

ogrodu, i sześć pni z mojej pasieki, ta i kilka półsetków płótna, i pięćdziesiąt reńskich w gotowiźnie; a reszta po mojej śmierci pójdzie na równe części, boć ja nie wieczny, a do grobu ze sobą nic nie wezmę.

— A co mi to za posag! — odrzeknie Stach — to ja sobie już najmniej dwa razy tyle wszystkiego obiecywał.

To już było za wiele dla Bartłomieja, i dlatego ze złością odrzeknie:

— A toć ja widzę, że ty się Stachu nie żenisz z kochania jeno dla posagu; o to ja ci nie dam mojej córki! — i zaperzony wyszedł do gości, i rzecze: — Darujcie, że dzisiaj nie będzie wesela, ale jeżeli łaska, to się i tak zabawimy.

— A to dla czego? — zapyta nagle zdumiony Wojciech.

Tu mu dopiero opowiedział Bartłomiej całą rzecz, a ów na to:

— Musi być wesele! — i kiwnie na swoich dwóch synów, co ich miał ze sobą, i wziąwszy też pana młodego, wyszedł gdzieś z nimi z chałupy.

Wszyscy pomilknęli w chacie od zdziwienia, aż tu naraz słychać krzyk pod niebiosa:

— Oj, oj, oj, darujcie tatusiu! toć ja to nie zrobił ze złego serca!

Na ten krzyk wybiegają wszyscy na dwór, i słyszą, że on wychodzi ze stodoły. Chcą otwierać, ale Kaczurba nie głupi, zaryglował wrota od środka, i nie nie pyta, jeno słychać było, że się zabiera do bicia.

Co go się wszyscy naprosili, i Bartłomiej, i panna młoda zaklinała, aby dał spokój: ale stary Kaczurba ani rusz żeby odstąpił swego, i pierwej nie otworzył wrót, aż swemu Stachowi odliczył dwadzieścia pięć odlewanych paliczek.

Wtedy dopiero odryglował zasuwę, a Stach podziękowawszy za karę, musiał najprzód Bartłomieja a potem wszystkich jak stali, przeprosić, i ciągle powtarzał: — Nie gniewajcie się, bo ja nie w złem zamyśleniu to mówił jeno ot tak; sam nie wiem, co mi do głowy przystąpiło. —

— Dałem ci resztę — rzeknie ojciec — co ci nie dostawało do posagu.

Teraz dopiero wyznał Stach prawdę, za to niejaki Wojtek Szczerbów, pijaczysko i próżniak wielki, co to się dawno przypytywał do Kaśki, namówił go, aby się zawczasu upewnił, co dostanie w posagu, bo przez zazdrość powiadał, że Skoczylas ma być wielki sknera.

I wszyscy darowali Stachowi tę jego głupotę, co się dał od onego Wojtka tak obałamucić.

A że też już wszystko było przygotowane, poszliśmy zaraz do kościoła, a ja z drugim jeszcze, prowadziłem pannę młodą, boć byłem wtedy za drużbę. A gdy ksiądz gadał im krótką naukę, to tak się oboje państwo młodzi popłakali, nieprzymierzając jak bobry. Po ślubie, gdyśmy wrócili do domu, to taka była u wszystkich ochota, żeśmy u Skoczylasa przez całe dwa dni hulali; napitku i jedzenia było dosyć, jeno co przy końcu piwa zabrakło, to gospodarz wziął jeszcze coś trochę u Duwuida Krzywoszyjki w karczmie, które on zawsze w lecie trzymał; ale nie umyło się nawet do tego, co Bartłomiej pierwiej od Jaśka z Narola był przyniósł. Potem poszliśmy do dworu i na plebanję z korowajem, a Maciej Lin, starosta, co był gumiennym we dworze, i wszędzie bywał po weselach, bo umiał bardzo pięknie przygadywać, i teraz oddawszy korowaj, pięknie się skłoni i rzecze do składu:

Proszę przyjąć mało za wiele,
Bo się już skończyło wesele.

Potem tośmy jeszcze u Kaczurby na przenosinach znowu dwa dni hulali, a jam tak wybijał hołubce i tańczył krakowiaka, żem sobie aż parę nowiusieńkich butów zepsuł, com je niedawno był kupił na jarmarku od samego Uhnowskiego szewca. A szkoda była wielka, boć to były buty na pasach, a tu jak na nieszczęście od jednego zgubił się obcas, a od drugiego odleciała podkówka, tak ją kowal ladaco źle przybił.

A gdyśmy się potem wszyscy żegnali, to każdy płakał: poczciwe kobiecisko Skoczylasowa ocierała łzy połą, Kaczurbicha rękawem, panna młoda zapaską, a reszta czem kto mógł.

Jako zaś to małżeństwo ze sobą zgodnie i przykładnie żyło, to się tylko dziwować potrzeba. Z początku niechciał nikt wierzyć, żeby tak było, bo ja sam jakoś nie bardzo do-

wierzałem temu Stachowi; ale potem pokazało się jawnie, że to ten Wojtek Szczerbów tak go nastroił. Jakoż dziesięć lat później byłem w Narolu, i wstąpiłem do Stacha. Wiele się tam odmieniło: stary Kaczurba umarł, jeden młodszy brat gdzieś się w lesie oberwał i takoż poszedł za ojcem, a drugiego wzieli w rekruty. Bardzo za nim Stach żałował, i pewnie mu krzywdy nie zrobi jak powróci, bo i wtenczas pokazywał mi mało nie wszystkie pieniądze, co je zbierał na opłacenie brata. A Kaśka nie mogła mi się naopowiadać, jaka jest szczęśliwa, że jej mąż nigdy złego słowa nie rzeknie.

Tak to moi ludzi dawniej było. Gdzieś i rodzice mieli większe znaczenie i poważanie, i dzieci więcej bojaźni boskiej i ludzkiej. A teraz mało to jest takich dzieci, coby gotowe ojcu lub matce oddać, gdyby ich chcieli kijem uderzyć? A kto temu winien? — pytam się was. No, nie ma o czem wiele mówić, bo wy sami wiecie, dla tego uderzcie się tylko w piersi i nic nie gadajcie więcej.

Daj wam Boże opamiętanie, rozum w głowie i dobre serce we wszystkiem!

Michał Bałanda.

PIĘKNE PRZYKŁADY.

Szkółka w Zadwórzu.

Serce się czasem człowiekowi kraje, kiedy to ujrzy niezgodę i nienawiść między gromadą a panem, i przypatrzy się a podsłucha, jak tam gospodarz na dawnego dziedzica podwodzi, i taki ku niemu nieżyczliwy, żeby go rad w łyżce wody utopił. Lecz chwała Bogu! rzadko się to już trafia po naszych wioskach, boć i serce u złych się wypogadza religią świętą przejęte, i głowa też nabywa większego rozumu i przychodzi do tego poznania, że lepiej i pożyteczniej jest żyć w zgodzie i pomagać sobie we wszystkiem.

A zresztą, od czegoż tote złości i podwodzenia najczęściej swój początek mają? Otóż z czystego obmowiska, z piekielnej

chciwości i zazdrości, co się na widok zasobniejszego bliźniego w niedobrem sercu rodzą.

— Mój człowieku! — spytasz się takiego podwodziciela — a co ci to pan we dworze zawinił żeś mu taki nieżyczliwy?

— Ho, ho — zawoła on — a jak była pańszczyzna to on dopiero nad nami przewodził i batem po grzbietach wywijał! A teraz to się z nami procesuje, i nie chce nam ani drzewa dać, ani z łąki ustąpić, choć się nam to po prawie należy.

I tak ci wydziwia i lamentuje, choć w tem najczęściej nic prawdy nie ma, jeno zły język i niedobre serce. Bo jużci ludzie są zawsze ludźmi, i ja tam tego nie mówię, żeby wszyscy panowie co do jednego święci byli; trafiają się też i między nimi źli ludzie. Najczęściej to kiedy pan nie swojak jeno zkądeś obcy, to o gromadzie ani słyszeć nie chce, i z pomocą ci nie przyjdzie choćbyś marzł w jego oczach i z głodu umierał; aleć Bogiem a prawdą więcej jest uczciwych naszych, sprawiedliwych panów. Że zaś i dawniej, choć za pańszczyzny, dobrzy i wielce starobliwi o lud swój bywali panowie, to się przekonacie z tego co wam tu opowiem. A wszystko to będzie święta prawda, boć przecie droższe mi moje sumienie niż czyjaś tam pochwała.

Owóż było to jeszcze w roku 1790, a więc już z górą lat siedmdziesiąt, jak żył we wsi Zagórzu, w teraźniejszym obwodzie Złoczowskim, pan Leopold *Bochdan*, właściciel tejże wsi i innych. Większa to była wończas ciemnota jak dzisiaj między ludem wiejskim; bardzo się rzadko trafiało, żeby który gospodarz umiał czytać lub pisać, a urzędy nie wiele dbały o to, żeby szkółki były stawiane, i jakaś oświata między ludem się krzewiła. A przecież pomimo tego że tak mało zajmowano się nauką po wsiach, trafił się owóż pan Bochdan w Zagórzu, który postawił w tej wsi szkółkę dla wiejskich dzieci.

Bardzo starannie i pożytecznie była urządzona owa szkółka. Pan Bochdan przyjął do niej nauczyciela, a temu dawał od siebie pomieszkanie, ordynarję i zapłatę roczną, zaco on był obowiązany nauczać dzieci czytać i pisać po polsku, takoż rachunków i religji. Nie było dosyć na tem; owoż dalej pan Bochdan uprosił plebana parafji tamtejszej Glinian, żeby do-

brodziej raz na miesiąc przyjeżdzał do tej szkoły, słuchał dzieci religji, dawał nauki, i miał zresztą nadzór nad wszystkiem. Oprócz tego ogrodnik ze dworu miał obowiązek uczyć dzieci ogrodnictwa: jak szczepić i oczkować drzewa owocowe, a w jesieni jak czyścić i owiązywać, chroniąc przed mrozami.

Nauka w tej szkółce zaczynała się zawsze po św. Michale, a trwała do św. Jana w Czerwcu, i wtedy to odbywał się *egzamin.* Tu dopiero był i pan Bochdan i ksiądz proboszcz i nauczyciel, i inni znajomi jak się trafiło, a dzieci musiały z książki czytać, odpowiadać na różne pytania, przyczem się też zaraz pokazało, które jest najpilniejsze i najwięcej w szkole się nauczyło. Tym dopiero najpilniejszym chłopcom rozdawał pan Bochdan małe kożuszki, sieraczki i płótnianki na nich przykrojone albo też pasy; zaś dziewczęta za dobrą naukę dostawały: wstążki, zaścieżki i tym podobne rzeczy.

Tak też poczęta w dobrej woli i w miłości, przyniosła owa szkółka nie małe całej wsi korzyści; dotąd jeszcze są w Zadwórzu starzy ludzie, którzy byli w tej szkole, a ci dobrze po polsku czytać i pisać umią, i z wdzięcznością wspominają sobie zawsze na szkółkę i na pana Bochdana. I przez kilkanaście lat uczyli się tam pilnie i chętnie, a dobry pan cieszył się że ludzie tak w nauce zasmakowali, i nie żałował wydatków: alić naraz przyszedł z góry rozkaz, żeby w onej szkółce nie po polsku, jeno po niemiecku uczyli. Ha, nie można się było sprzeciwiać, aleć i trudna była to sprawa uczyć się po niemiecku, kiedy ludzie do onej niemczyzny nic a nic się nie wkładali, a zgoła przez gardło przeleść im to nie chciało. Nie dziwotą więc, że coraz mniej dzieci zaczęło bywać w onej szkółce, a i te zamiast się czegoś nauczyć, to bałamuciły się nie w jednem: więc pan Bochdan widział, że to na nic dobrego przydać się nie może, i przestał wydawać na utrzymanie szkółki, dlaczego też po jakimś czasie upadła.

Patrzcież jaka to była przychylność i dobre serce w owym Zadwórskim panie! Bez niczyjego nakazu starał się on o nauczenie czegoś swojej gromady, ale mu w końcu inni w tem przeszkodzili. A nie tylko że płacił nauczycieli, ale sam napisał książeczkę dla szkółki, którą każdy uczeń musiał przepisać

dla siebie i schować. Żebyście zaś wiedzieli, jaka to poczciwa była owa książeczka, to wam tu z niej kawałek wydrukuję:

„Podług stanu różne są obowiązki każdego człowieka, ponieważ z natury żadnej różnicy między ludźmi nie ma, tylko ta, która z obowiązków różności pochodzi. Wszyscy równie się rodzą, wszyscy też do uszczęśliwienia wzajemnego należyć powinni. Gdy pan będzie sprawiedliwy względem służących, a służący będą mu wiernie służyć; gdy rodzice dzieci swoje będą kochać, i z kochania będą ich drogą prawdy prowadzić, dzieci zaś będą posłuszne rodzicom swoim; gdy sąsiad z sąsiadem będą żyć w zgodzie i jedności; gdy w przyjaźniach zachowa się szczerość, w małżeństwach wierność; gdy podejścia, zdrady i oszukania między ludźmi nie będzie: wtedy to z tych cnót wypłynie szczęśliwość dla każdego.“ —

Oto macie piękny przykład, jako i dawniej starali się panowie o swoje gromady i o dzieci swych poddanych! A więcej znaczy też takie staranie niż wyżywienie i okrycie; więcej znaczy nauka, chleb boży, niż wszelaki chleb ziemski, bo kto ma naukę w głowie a uczciwość w sercu, to sobie wszędzie sprawiedliwy zarobek znajdzie, i będzie miał do sytu ziemskiego chleba powszedniego!

Grześ z Mogiły.

RÓŻNOŚCI.

Powódź. Dnia 14 zeszłego miesiąca dotknęła straszna klęska gminy *Milówkę*, *Nieledwię*, *Żabnicę*, *Cisiec*, *Szare*, *Kamesznicę* i *Sól*, wszystkie położone w obwodzie krakowskim. Wieczorem dnia owego powstała w tej okolicy straszna burza; lało jakby z cebra, i takie było urwanie chmury, iż ci się zgoła zdawało że już koniec świata. Nie minęła też i godzina, a wszystkie małe potoki i rzeka Sola tak ogromnie wezbrały, że najstarsi ludzie w tej tam okolicy nie zapamiętają takiej wysokości wody po rzekach. Niezmierne też szkody porobiła ona woda wystąpiwszy z brzegów: pourywała i spustoszyła wszystkie przyległe grunta; w gminie Sol porwała ze sobą dwie chaty, a w gminie Nieledwi jeden dom kmiecy, a tak duchem się wedle tego upnęła, że ludzie nie mieli nawet czasu wynieść graty ze środka. Takoż i po gościncach zrobiła woda

siła szkody, bo zerwało trzynaście większych i mniejszych mostów, a naprawa ich nie mało będzie kosztować. Pan Bóg jeszcze łaskaw, że przy tem nieszczęściu żadnego wypadku śmierci nie było.

W nocy z dnia 4. na 5. tego miesiąca, podniosła się też woda znacznie na Wiśle pod Krakowem, i porobiła niektóre szkody ale niewielkie.

Pożary. Często coś ognie mamy tego roku, a nie mało też szkody przynoszą one ludziom. I tak dnia 15 maja, w sam dzień św. Zofji, paliło się w mieście *Kołomyji.* Pożar był ogromny, bo zgorzało 61 kamienic a 128 innych pomniejszych budynków. Na dwa zawody się zapalało, a trudno było ugasić. Nie dawno temu był też ogień w mieście *Dukli* w obwodzie jasielskim; a dnia 31 maja po południu uderzył piorun w miasteczku *Jaworowie* w Przemyskiem, od czego wnet ośmnaście domów zgorzało.

Przypadek na odpuście. Dnia 19 maja, w pierwszy dzień Zielonych świątek, stał się smutny wypadek na odpuście w *Leżajsku.* Ludzi był pełny kościół jak nabił, nie miałeś gdzie szpilki wetknąć, aż tu nagle w czasie nabożeństwa odezwał się głos: — Uciekajcie, gore! — No jużci że na takie zawołanie powstał wielki strach między ludem, jeden na drugiego zaczął się cisnąć, a zaczem się jakaś część dostała na dwór i w kościele się zrobiło przestrzeniej, to już czworo ludzi uduszono na piękne, a jedenaścioro zostało mocno uszkodzonych. Pokazało się później, że w kominie w klasztorze zajęło się na prawdę, lecz ogień został zaraz przytłumiony. Jakto trza być ostrożnym z takiemi krzykami, kiedy ludzi wielki natłok!

Przytrafunek z życia naszego Ojca świętego. Przed trzydziestu sześciu laty spotkał pewien ksiądz w Rzymie młodego złoczyńcę imieniem Kajetana, właśnie kiedy go prowadzili na stracenie. Wielka pokora i zupełne poddanie się, jak widać było po nim, sprawiedliwości boskiej i ludzkiej, z jakiem winowajca ten szedł na śmierć pewną, tak wzruszyły owego księdza, że co tchu pobiegł do pałacu ówczesnego Ojca św. i prosił o ułaskawienie Kajetana, a prędzej nie chciał wyjść aż Ojciec św. zamienił Kajetanowi karę śmierci w więzienie na całe życie. Wsadzono go więc do więzienia we fortecy, która się nazywa twierdza św. Anioła. Dwadzieścia dwa lat później ksiądz ów został Ojcem świętym, dzisiejszym Piusem dziewiątym. Nie zapomniał on o onym złoczyńcy Kajetanie i chciał się teraz też przekonać, czy ten ułaskawiony prawdziwie zasłużył na jego dobroć, i czy się nawrócił zupełnie. Chciał się też i zarazem przekonać, jak się z więźniami za jego rządów obchodzą. Ubrał się więc jakby zwyczajny ksiądz, i poszedł jednego dnia nad wieczorem do twierdzy św. Anioła. Skoro tu przybył, prosi oddźwiernego o wpuszczenie. Ale to człowiek grubijański i wpuścić go niechce; dopiero kiedy ksiądz mu pokazał na piśmie pozwolenie od Ojca święt. że może

wnijść do więzienia, wpuścił go, mrucząc sobie pod nosem. Ojciec św. wchodzi do komórki Kajetana. Ten go nie poznał i dla tego ze strachem pyta się, po co przyszedł?

— Przynoszę ci dobre orędzie od twojej matki — odpowiada przebrany ojciec św. — Słysząc słowo o matce zawołał więzień:

— Moja kochana matka! A więc żyje jeszcze? Chwałaż Bogu Najwyższemu!

— Tak jest, żyje i mnie przysyła do ciebie, abym ci powiedział, że ci będzie lepiej. —

Więzień nie wiedział, co robić z radości, ale rzucił się owemu księdzu w objęcia, a ten go do serca swego przycisnął.

— Bóg się więc jeszcze nademną lituje, bo przysyła mi Anioła pociechy! — powiedział Kajetan.

Uspokoiwszy się trochę ze swojego wruszenia, opowiedział mu więzień wszystkie cierpienia przez dwadzieścia i dwa lat więzienia swego.

— Trzeba ci było pisać do Ojca św. i prosić go o łaskę — rzecze ksiądz na to. — Dosyć jużeś wycierpiał za zbrodnię, w siedemnastym roku życia twego popełnioną.

— Pisałem kilka razy, ale niedostałem żadnej odpowiedzi.

— Pisz jeszcze raz.

— Ale kto mu mój list odda? ginie jak i tamte.

— Ja mu go oddam; oto tu masz papier i ołówek. — Więzień napisał list jak najpokorniejszy i rzewnemi łzami skropiony.

— Tak, dobrze, jeszcze przed wieczorem Ojciec święty twój list dostanie. Bądź zdrów, ufaj w Bogu, zmów paciorek za Ojca św. i bądź spokojny.

Wyszedłszy z więzienia, poszedł do oddźwiernego, który dąsając i niecierpliwiąc się chodził po swojej izbie.

Do djabła! Mości księże, ciężko jegomość przeskrobał — krzyknął oddźwierny na niego — godzinęś miał tylko zabawić, a tu już dwie minuty po godzinie; ruszaj ztąd co prędzej.

— Nie klnij, człowieku, bo Boga tem obrażasz; a nużby się o tem Ojciec święty dowiedział?

— A niech wie, kiedy chce! On się tyle o mnie kłopoce, ile ja o niego.

— Nie znasz Ojca św. bobyś wiedział, że on nikim nie gardzi. Jak ty się nazywasz?

— A Jegomości djabli do tego! ruszaj sobie do kaduka, pókiś zdrów!

Wyszedł więc niepoznany Ojciec św. i poszedł do najwyższego urzędnika twierdzy św. Anioła. Ten nie wiele był grzeczniejszy.

— Jeszcze jakiś natrętnik! — zawołał — żywo, Mości Księże, czego Jegomość chce, bo ja nie mam czasu!

— Żądam uwolnienia dla więźnia Kajetana.

— Jegomość żartuje; sam tylko Ojciec św. uwolnić może.

— Ja też w imieniu Ojca świętego tu przychodzę.

— A dowód na to? —

Oto tu jest! — i Ojciec św. Pius wziął pióro i napisał w jego oczach: Rozkazuję zarządcy twierdzy świętego Anioła, by więźnia Kajetana wypuścił natychmiast na wolność, a oddźwiernego odpędził. Podpisał Pius, Papież.

Zarządzca poznał po piśmie, kto jest ten ksiądz i padł Ojcu świętemu do nóg, prosząc o przebaczenie za takie przywitanie go. Kajetana natychmiast wypuszczono, który odtąd matkę żywił i był poczciwym człowiekiem. Onego odźwiernego grubijana zaraz odpędzono. — Po dwóch miesiącach dostał on znowu miejsce jakieś, kiedy przyrzekł, że już nie będzie więcej klął i z nikim się tak grubijańsko obchodził. I dotrzymał słowa.

(Prz. lud.)

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.